

Przick



Michel do Wanki: Co to takiego? Ten polak coraz bardziej się rozpiera i my coraz dalej od siebie!

Wanka: Wot nieszczęście, miły druż! A mnie tak by się chciało ciebie uściskać.

W N O C J E S I E N N A.

Czasem na wschodzie w ciszy chwilę
zawarczy głuchy jęk armatni...
Ile ich było?... ile?... ile?...
A może właśnie ten—ostatni—?

Może ze krwi, co strugą płynie,
Obeschnie wreszcie mać ziemica?...
i może zmagani chwila minie,
jak mija letnia błyskawica?...

A może wrócisz ty, tułaczu,
którego pierś we krwi się broczy?...
I może polskie smutne oczy
oschną po krwawym wreszcie płaczu.

T. STACH.

O C Z K O.

Na nutę „Tańcował Kuba i jego luba. Tak tańcowali uha! uha!“.

Oj, ojl! laboga! Oj, ojl! nieszczęście!
A niech tam który pomoże!
Wpadł w oczko pannie żołnierzyk śliczny—
I wypaść z niego nie może—

Oj dłubie, dłubie ze dwie godziny,
Lanceta pękła już czwartą,
A żołnierz siedzi, jak mysz pod miotłą,
Taka bestyja uparta!

Pomrugaj, panno, oczkami swemi—
I podślaw białe rączunie—
To może prędzej, na te białości,
Żołnierz się z oczka wysunie—

Oj, oj, przyprzęgli konie z armaty,
Rotmistrzowego ogiera!
Ciagną i ciagną, a żołnierz murem
Już się do serca dobiera!

Oj, mruga panna w prawo i lewo,
Do góry, na dół i w strony—
A żołnierz siedzi, jak malowany,
Jakby na zawsze wlepiony.

Wtem głos się ozwie: „Chłopczy! Do bronii!
Będzie taneczek, paradzi!”
Wyrwie się żołnierz z cudnego oczka—
I jako piorun wypada!

Oj, przysyłajcie, co koń wyskoczy,
Od lazaretu doktora,
Niechaj ostrożnie w oczku podlubie,
A może wyjdzie zapora.

Oj, taka już to dusza żołnierska,
Chociaż rogata, wesoła,
A nawet z raję duchem ucieknie,
Kiedy ją Polska zawoła!

ANIELA BOGUSŁAWSKA.

S K A R G A T R O C K I E G O.

Szanowna Pani Koalicja!
Jak my tu pokój robisz mamy?
Obecno nie poradzę nic ja
z temi polskiemii nachałamy

Bo taki polak to sze rzuczy
i miszli, co un jest Batory...
To naród dzyki: sępi, kruczy —
jemu wesele — wojny, spory!

To są krwiopijce ruskiej ziemi!
Une chcą tylko czągle bicz szel
Czy można grzecznie gadacz z niemi,
póki im rogów kto nie przytrze?

Ty tę kramotę całą okuj
i zrob z zaborów polskich trzech co...
Ja chcę w Warszawie zrobisz pokój,
a one mnie tam puszczyć nie chcą.

(b.)

I TAK ŹŁE I TAK NIEDOBRZE.

Mały Izydorek dostawał wciąż pałki i dwójki
— Co to jest, Izydorek?—pyta ojciec. Dlaczego
ty sze tak źle nauczysz?
— Ja sze dobrze ucze, tylko ten nauczyciel sze
czepi, bo un jest antysemytnik.
Zmartwiony tato wziął i dał Izydorka ochrzcić.

Ale coż!... Przynosi cenzurę—znów źle stopnie.
— Co to jest, Izydorek! Przecze ty już jesteś
gojl! — woła ojciec.
— Co robisz, tato! Sam tato mówi, że wszyst-
kie goje to mają takie zakute łby.



„RUKI W WIERCH!”

S P R Y T M O S K A L A.

Siemion Riumoczkin dostał się do niewoli i wkroczył nareszcie, co prawda jako jeńiec, do Warszawy. Zmartwiony srodze, że nie może „rekwirować” i „pogulać” w upragnionej Warszawie—rozmyśla nad przyczyną klęski czerwonej armji.

— Nu, pan — pyta wreszcie konwojowego Antka Zawisłaka—skażi-ka, poczem to nas — niepo-biedimuju krasnuju armju, polaki bjut?

Antek Zawisłak, morowy chłop, rozwiązuje pytanie krótko:

— Psia cię mać, skurczybyku, bijemy, bo mamy spryt.

— Spryt? Nie panimaju. „Spirt” znaju, no spryt?

— To ja ci zaraz pokażę, co to „spryt” — mówi Antek. Kładzie rękę na stole i każe uderzyć się w rękę.

Siemion, chłop wielkolud, zamachnął się z całą siłą, zamierzając huknąć Antka bardzo mocno. Lecz Antek rękę cofnął i niezdarne moskalisko wyrzucił się strasznie w łapę, aż deski zatrzęszczały.

— Oj! bolno! — wrzasnął.

— Otóż, widzisz, to jest spryt—mówi Antek.

— Nu eto wierno, panie polak. Tiepiej ja po-

nimaju, poczem nas polaki bjut. — I ucieszony z wiadomości, biegnie między swoich i krzyczy:

— Bratcy! bratcy! — wot ja wam objaśnię, dlaczego nas polaki bjut.

Zbiegła się gromada ciekawych wokół niego i żąda objaśnień. Wtedy Siemion z wielką dumą mówi:

— Polaki nas biją, bo u nich jest spryt.

— Spryt?—co za czort. Razjaśni.

— Charaszo! Ja wam nagladno rozjaśniu. — Woła kolegę Iwana, rozgląda się wokół, a nie widząc nigdzie ani stołu, ani pieńki, ani niczego podobnego, z całą powagą kładzie dłoń na gębie i woła do Iwana:

— Nu, Iwan, bij w rękę. Tylko mocno!

Oczywiście, Iwan zamachnął się, jak należy, by z całej siły uderzyć Siemiona w rękę. Siemion tymczasem, naśladując Antka Zawisłaka, odjął dłoń z policzka i nadstawił gołą twarz. Siemion więc, zamiast w rękę, zapalałował go w pysk tak silnie, iż ten aż kozła wyrócił. Cała gromada w śmiech i wszyscy przyznali że moskal sprytu nie ma i dlatego w skórę bierze.

Z R O Z M O W T E L E F O N E R A.

Pewnego razu mama Telefonera, dbała o przyszłość szlachetnego rodu Telefonerów, postanowiła wyszukać dla syna żonę. Tedy przez swą wynalazono piękną dziewczynę w Krakowie, do której w konkursie miał się wybrać Telefonera. Rzecz ma-



ma: — Kuba, ty się musisz ubrać w czystą koszulę i możebyś się przynajmniej wykąpał.

— Co się tyczy do koszule, to możemy o tym gadać, ale co do kąpienia, co

ja mam ryzykować? — A jak z tego małżeństwa nic nie będzie?

Plutonowy referent ma pogadankę historyczną o generale Sowińskim, sławnym obrońcy Woli. Po wykładzie zwraca się do Telefonera:

— Telefonera, opowiedz nam, co wiesz o generale?

— Ja sobie myślałem, co to był wielki wojak, ale on był też wielki frajer.

— ??

— Jemu mogli zwolnić na komisję bez jedne nogę, które nie miał, a on szepchał do wojska. Nu, czy on nie był frajer?

— Telefonera, jaka jest najgorsza kara w wojsku?

— Kara?... Aha! Kara-bini!

Telefonera zachorował na gardło i leży w szpitalu. W czasie wizytacji generał pyta rannych i chorych, jakie mają życzenia. Z takim samym pytaniem zwraca się do Telefonera.

— Ja by prosiłem, panie generału o przeniesienie mojego łóżka na sam początek sali, przy drzwiach!

— A to dlaczego?

— Bo... bo w tej sali leżą same zranione w te... w tylną nogę i jak pan doktor przychodzi, to on najpierw smaruje wszystkich z pędzelkiem w tamte miejsce, a potem z tym samym pędzelkiem mnie w gardło... Więc jaby wolałem być pierwszy przy te pędzlowanie...

— Powiedz mi, Telefonera, co powinien zrobić kanonier po daniu wystrzału z armaty?

— On powinien zastrzelić trochę nieprzyjaciół.

*

— Telefonera, powiedz mi, na co zasługuje deserter?

— Na dwadzieścia lat rozstrzelania, panie poruczniku!

— Głupiś! Zasługuje na karę śmierci z pozbawieniem... no, czego?

— Z pozbawieniem przytomności, panie poruczniku!

*

Telefonera objaśnia kolegów, co to są komuniści.

— Nie rozumiecie? Komu niszczy, to znaczy, że komuś zniszczy i sam też z tego nic nie ma!

*

— Telefonera, co to jest atak?

— Wprawdzie nie jeździ doktor, ale wiem, że to coś podobne do apopleksji...

*

— Telefonera, jakie są rodzaje broni?

— Kawalerja, artylerja, piechota i... i Czerwony Krzyż!

*

— Telefonera, co uczynisz w razie ataku nieprzyjaciela?

— Przepraszam, czy za samo powiedzenie już też będę odpowiedzialny?...

*

— Telefonera, jaka jest różnica między baonem a dyonem?

— Różnica? W pierwsze sylaby...

*

W czasie koncertu czołówki dowódca posyła Telefonera do kapelmistrza, dowiedzieć się, jak się nazywa odegrana przed chwilą „pieśń”.

Po chwili Telefonera wraca: Panie majorze, melduje, że to co grali, nazywa się „Telefonera”!

— Zwarjowałeś?

— No tak, ja się pytałem pana kapelmajstra, to on powiedział, że to ma tytuł: „Tak jak ty”... a ja się nazywam Telefonera.

*

— Telefonera, co będziesz robił po demobilizacji?

— Będę skakał z radości!

*

Telefonera, wysłany na patrol, po godzinie wraca zdyszany, przerażony i pędzi do porucznika z krzykiem:

— Panie poruczniku, Gewalt! Bolszewiki napadli na nasz patrol i dwóch zabili!

— Co? gdzie?! Kogo zabili?!

— Jeden ja, drugi zaraz przyleci!

*

*

*

— Czy to prawda, Telefoner, że ty nie pragniesz pokoju?

— Wiesz pan, prawdę mówiąc, to ja bym wolał, żeby ta wojna dalej trwała.

— Dlaczego?

— Ja panu co powiem... Mnie się zdaje, że jak te goje skończą się bicz ze sobą, to mogą się zabracz do żydki.

*

Bawiąc chwilowo w Warszawie, wstąpił Telefoner do cukierni, eleganckiej cukierni za Żelazną Bramą, rozsiadł się i kazał sobie dać szklankę białej kawy.

Usłużny kelner czempredzej wykonał rozkaz pana wojskowego, ale Telefoner zdążył się już rozmyśleć.

— Wiesz pan co? — powiada — daj mi pan lepiej szklankę herbaty.

Kelner skrzywił się, ale zabrał kawę i przynosi herbatę.

Gość wypił, wstaje i idzie ku drzwiom.

— Panie wojskowy! — woła kelner — a pieniądze?

— Pieniądze? Za co pieniądze?

— Jakto, za co? za herbatę.

— Nu, przecze za herbatę ja panu datem kawę.

— Ale za kawę pan nie zapłacił.

— A czy ja wypilem te kawę, żeby ja za nią płacił? Też mądry!

*

Któregoś dnia Telefoner spotkał starego przyjaciela i w wielkiej tajemnicy wyznał mu, że chciałby się ochrzcić.

— Telefoner! Zwarjowałeś?... Naco? Poco?

— Ja wogóle chce się zmienić.

— Myszygenel! Un miszli, że te troche hydropatji pomoże mu co na te żydowskie gębe.

*

— Baczność!

— Spocznij!

— Dlaczego szeregowiec Telefoner nie zrobił spocznij?

— Niech się pan porucznik nie krępi, ja mogę postać.

— Mówię, do stu diabłów! spocznij, to spocznij.

— Psieprasam, pan porucznik, ale ja tu nie widzę krzeselko.

T A J E M N I C A „S W I Ę T E J” K O B I E T Y.

Dokończenie.

Młodzieniec był trochę na wojnie, stęzał, nabrał nowego fasonu. Nie ten Stach, co dawniej. Pannę Wandę wybił sobie z głowy. Ale zajechała mu za to głęboko w serce Jadzia Bąkiewiczówna z Bąków Zbijanych. Wprawdzie nie posiadała ona oczu chabrowych, ale za to wyglądała z nich toń morza. Zresztą, usta miała również, jak korale, zęby, jak perły i t. d., akurat wszystko, jak trzeba, żeby się stać duszą duszy, zjawiskiem, bóstwem i t. d.

I znów stanął syn przed ojcem i znów...

— Jaktol — zawołał — i ona także?

— Ajakże — potwierdził nieco skonfundowany pan Kajetan.

Powtórzył się tedy zeszłoroczny dramat, ale tym razem Stach aż do zdechu zajechał ulubionego bułanka, a p. Kajetan chciał fornała rznąć w pysk, ale czasy się zmieniły i sam o mało nie dostał drągkiem po karku.

Awantura wywołała zamieszanie we dworze — tak, że nawet pani Kajetanowa, ta święta kobieta, straciła zwykły spokój i jęła wypytawać, co się stało.

— Matko! — zawołał zrozpaczony Stach — jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy!

I wzburzony, zapominając o koniecznej dyskrekcji, opowiedział wszystko, co się stało.

— Wanda... moja siostra!... Jadzia... moja siostra!...

— Kto ci to powiedział?

— On sam!... Ojciec!

Ale na zaciśnięte wargi „świętej” kobiety wystąpił nagle uśmiech ledwo dostrzegalny.

— Uspokój się, mój chłopcze — szepnęła po chwili — możesz się żenić i z jedną i z drugą.

— Jakto, mamę? To jego córki!

— One... może, ale ty nie jesteś ich bratem... Ja chyba mogę najlepiej coś o tem wiedzieć.

C O B Y T O B Y Ł O ?

Podobno Trockij nic nie wie o zwycięstwach armii polskiej. W jednym z pism bolszewickich miał napisać:

„Nas pobito? Gdzie? Kiedy?”

Okazuje się więc, że moskale z własnej nteprzymuszonej woli uciekli z pod Warszawy, z własnej woli oddali Grodno, Lidę etc., z własnej woli oddają armaty, karabiny maszynowe i całe pociągi, a wreszcie z własnej woli dostają się masami do niewoli.

Mój Boże! co by to było, gdybyśmy ich pobili?

Przypomina się wypadek zesłańców z r. 1863.

W pewnej wiosce syberyjskiej polak-wygnaniec założył karcznię. A do pomocy przyjął kolegę o jednej tylko, i to lewej, ręce. Któregoś wieczora zeszły się kacapy, popili się i zaczęły robić awantury. Ale kaleka, jak się okazało, siłacz — wszystkich wysmyrznął za drzwi, biorąc kolejno pijaków za kołnierze.

Nazajutrz budzą się w rowie.

— Wańka... a cziol!... — rzece jeden z nich, podnosząc głowę.

— Bóg łaskaw — odpowiada Wańka — bo co by to było, gdyby mu był prawą rękę zostawił?

CO MOWI ŁAZIK?

Morowy ci miałem niedawno fasunek. Przychodzimy do jednego miasteczka, już niedaleko Grodna; bolszewiki zwiali, jako że im coraz pilniej do Moskwy, a naród na ulice wylega i z nami się cieszy.

Mieliśmy tu się na dłuższy postój, więc, naturalnie, każdy porządny łazik musi znajomą jaką



wyszukać. Trafiła mi się jedna przystojna panienska, komalą—obiita w sobie i nie skąpa. A że służyła za kucharkę u właściciela kamienicy, więcem jej zara obiecał, że się ożenię, jak mi tylko nowe buty wydadzą. Zacząłem codziennie przychodzić do kuchni, a parzygnat kiele człowieka skacze, najlepsze kaski z pod blachy wyciąga i karmi, jakby utuczyć na

Wielkanoc chciała. Pożywi się człowiek, a po kolacji jeszcze ostanie, żeby nie pyskowała, że me darmo żywi. Ino trza się było wcześniej rano wakować bo jakby stara chwyciła, to gorzej niż kanarkowi w łapy wleźć.

Ale do mojej Katarzyny i jej pan także samo miał niekiedy jenteres. Więc kiedym to zmiarkował, powiadam grzecznie: Słuchaj, garkotłuku jeden, abo ja, abo on. Tak ona mówi: Idź ty warjat, co mi po niem. Cholera, ino gitare zawraca.

Poszła do swojej starej i naskarżyła, że pan

spokoju jej nie dale. To stara najpierw skoczyła z twarzą, ale że i Katarzyna nie bardzo miętka w pysku—przycichła.

Siedzi stara przy obiedzie, na męża patrzy tem samem okiem, co na psa, pary nie puszcza, a dopiero pod wieczór woła Kaśkę i powiada: słuchaj, dziś ja będę spała w kuchni, a ty na mojem łóżku, bo muszę tego starego durnia nauczyć.

Myśli Kasia, co z tego wyjdzie... No i przystała.

Zrobiło się ciemno, a ja o tej całej kombinajcy nie wiedzący, leze jak ten głupi w pułapkę.

Tymczasem stary wraca późno z sesji kapke zawiary, bo jako kamienicę mający, ciągiem radzi tera, żeby już nie było tej ochrony lokatorów — więc zmartwiony zdejmuję cichutko buty i jak w dym, po skrzypiącej podłodze na palcach się skrada.

A że ja—jak już mówiłem—nic nie wiedział a całej kombinajcy, a Kasia ostawiła, bez przyzwyczajenia, zatrząsk podniesiony — więc mnie stary namacał. Widać, stracił rezon, bo ani pisnął, ino całnął się bolsiewicką modą w porządku.

Tośmy dopiero na drugi dzień z Kasią wykal-kulowali, co się stało.

Tak ona powiada: Cholero jedna, niedość, żeś mnie zdradził, jeszcze stara sknie, a może i co gorszego w głowę ciśnie.

Ale stara nic. Buzia w ciup, chodzi wesolutka i pod wieczór powiada: Wisz, Kasiu, ja będę znów nocowała w kuchni.

To Kasie wziena złość i krzyczy: W takim razie, dziękuje za służbę. Ale pani obiecała jej podwyższyć i jedną swoją sukienkę podarować, więc się parzygnat udobruchał. No i jakoś se tera człowiek radzi. Bo co mam pyskować? Toć po ciemku wszystkie koty szare, a i dla Kasi zawsze coś ostanie—tembardziej, że jak jej sukienkę stara podarowała, to się zrobiła wielga dema i już nie taka wymagająca. A najważniejsze, że się moją cichą pracą małżeństwo pogodziło i znów żyje z zadowoleniem, bez zgorzzenia publicznego.

Ino że nasz oddział mają niedługo przenieść, więc Katarzyna chce, żebym dał na zapowiedzi. Ale ja mówię: co mam dawać, kiedym jeszcze butów nie zafasował, z w tych dziurawych przecie do ołtarza pójść—to obraza Boska.

KWIATKI JEZYKOWE.

W Poznaniu odbywa się „cogodzinne wypróżnienie skrzynek pocztowych”.

Wielkopolskim skrzynek pocztowym najwidoczniej popsuiły się żołądki.

*

Kawaler pragnie się wnieść w interes mleczny młodej wdowy zprzodu. (Z pism poznańskich).

*

„Tu się sprzedaje twarde piersi“ (co znaczy po wielkopolsku półkoszulki).

*

Na którym kiju („Stock”) pan mieszkasz?

Z RAPORTEM.

Lekarz pułkowy do łapiducha.

— Co tam słychać w ambulansie?

— Melduję posłusznie, że wszystko jest w porządku, tylko ten dezenter, przyprowadzony na kurację, zachorował na dezerterję.

TAKŻE RACJA.

Dwaj krakowscy andrusi spotykają niezwykle wysokiego kapucyna.

— Tel Antek! odzywa się jeden — taki duży, to choć ksiądz, a może w piątek jeść mięso.

— Jakto?

— Bo zanim mu jadło dońdzie do żadołka, to już jest niedzielal

N O W O M O D N A.

— Ja cię błagam, dziewczę moje,
porzuć miejski bruk.
Zabierzemy się oboje,
pył otrząsnę z nóg.

— Dokąd, dokąd? mój aniele,
trala-la-la-lal ha-ha-hal
Może zrobić chcesz wesele?
Trala-la! ha-ha-hal!

— Na wieś pojedziemy, droga,
do chateczki mej.
Schludna ona, choć uboga —
dobrze będzie w niej.

— Wolę, byś był urzędnikiem
trala-la-la-lal ha-ha-hal
Frak ze złotym miał guzikiem
trala-la! ha-ha-hal

— Kwitną łąki, kwitną drzewa,
ciemny szumi gaj;
a w nim słowik cudnie śpiewa,
gdy zapachnie maj.

— Od słowika, mój sokole,
trala-la-la-lal ha-ha-hal
Prosty ja gramofon wolę
trala-la! ha-ha-hal!

— Pójdę z koniem, pójdę w pole,
do obórki — ty.
O południu zaś na rolę
jeść przyniesiesz mi.

— Chybabym ja głupia była
trala-la-la-lal ha-ha-hal
Wnet trzewiczki bym zniszczyła
trala-la! ha-ha-hal!

— A w świąteczny dzień, w niedzielę
piękną suknię bierz.
Wózek sianem ci wyściele,
gdy zadzwonią z wież.

— Głupi oj, z ciebie chłopczyna
trala-la-la-lal ha-ha-hal
Bo ja wolę pójść do kina
trala-la! ha-ha-hal!

O J, C Z A S Y, C Z A S Y!

PIEŚŃ DZIADOWSKA.

Dziś wielgie cuda dzieją się na świecie,
że w żadnym piśmie takich nie najdziecie.
Chodzi człek, patrzy, bo popatrzyć warto
z gębą otwartą.

Był ci parobek, gamoń nad gamonie,
gnój woził w pole i obrządzał konie;
jak wziął strajkować, tak bestja wyrosła —
kroi na posła.

Inny, co dawniej stróżem nie mógł zostać,
bo sieczka we łbie i koszlawa postać —
teraz rozgląda się już okiem bystrem:
chce być ministrem.

Siedzi w kawiarni piękna lafirynda —
ino jej biały „frajer” na łbie dynda.
Zachciało jej się dostać (czy ma bzika?)
podpułkownika!

Człowiek zdziwiony wciąż dokoła patrzy,
bo im mniej robi naród, tem bogatszy.
Próżniactwem więcej zarobisz, niż pracą:
za strajk ci płacą.

Bez to człek ciągiem, ciągiem bogacieje,
bo mu kapota na grzbiecie drożeje;
portiki tak samo, im bardziej wytarte —
tem więcej warle.

Wszystko drożeje, więc modlitwa także.
Nie może dziaduś darmo prosić wszakże!
W amerykańskiej walucie brać muszę
za grzeszne dusze.

OGŁOSZENIA Z ROZSYPAŃEJ SZPALTY.

Francuski, niemki, angielski jesienne i demisezo-
nowe, Olbrzymi wybór.

Do oddania w dobre ręce rasowy, dwumiesięcz-
ny izraelita,

Osoba młoda, skromnych wymagań przyjmie bry-
lanty, perły i złoto. Daje zaliczki.

Restauracja „Hotel Palace” poleca smacznie
przyrządzone kalosze petersburskie płytkie i głębokie.

Przechodząc ulicą Wspólną, Bugaj i Zielną, zgu-
biono zapach tuberozy. Flakon 150 marek.

Okazyjnie sprzedam mało używany katar kiszek
i zatwardzenie.

ELEGANCJA.

— Walek, dostałem przepustkę do miasta: pożycz mi papierosa. Jak wrócę, to ci go oddam.
— Pocóż ci papieros, przecie ty nie palisz?
— Mnie też papieros nie jest potrzebny do palenia. Wsadzę go sobie za ucho, bo mam spotkanie z dziewczyną i chcę się trochę wyelegantować.

DANTE.

Pewien zamożny kmięć przybył do Warszawy, a chcąc nabyć jakiś przedmiot zbytku, wszedł do magazynu rzeźb i obrazów.

Nagle spostrzega brązowe popiersie Dantego. Spodobało mu się.

— Panie kupiec, a to co takiego?

— Dante.

— Dante? A ja myślał, że lane.

PRZEZ

NIEUWAGĘ.

— Antek! Stawiałem na loterję!

— No?

— I przegrałem. Przez tę nieuwagę. Śniło mi się wyraźnie, że ci mam po 9 wybite na siedzeniu. Po jednej i po drugiej stronie. Ano, idę do pana kaprała i pytam, czy stawiać na 18 czy na 18 i 99 czy też tylko na 99. Pan kaprał podumał, podumał, pokręcił głową i kazał mi iść do jasnej cholery. Takem poszedł i na swój rozum postawiłem na 99. I przegrałem. Przez nieuwagę. Bo wyszło 909.

TU SIĘ NIE JE.

Do zacisznego gabinetu, oznaczonego dwoma zerami, dobija się dorobkiewicz sielskiego pochodzenia. Zamknięte.

Zniecierpliwiony, ile że sprawa nie cierpiąca zwłoki, szarpie drzwi raz, drugi, a wreszcie woła:

— Kto tam je?

— Tu się nie je—odzywa się głos z wnętrza—wprost przeciwnie.

SZABLA JEST LEPSZA.

— Ja zaś ci powiadam, że na wojnie karabin szabli nie zastąpi. Szabla to dopiero jest broń.

— Czemu?

— Bo karabinem jak nie jest nabity nic nie wskórasz, a szablą chociaż nienabitą można nabić nieprzyjaciół, ile wlezie.

DLA

OSZCZĘDNOŚCI.

Kochana Mańka!

W przyszły piątek przyjadę do Warszawy na trzy dni na urlop. Czekaj na mnie przy moście, ale Jóźce nic nie gadaj, bo nie chcę, żeby mi robiła chryje, zem ją puścił kantem. Ta zatrącona Staśka—żeby ją kolka sparła—też mi głowę w cywilu zawracała, teraz alimentami grozi, a jak masz kilka marek to weź ze sobą, bo jestem mortusowy, a zabawić się trzeba, bo za sto lat nie będzie nas i się puścimy.

Twój Antek.

P. S. Kochani Rodzice! Po przeczytaniu niech kochani Rodzice ten list wyślą na Marjenształd 29 do Marji Kuternożanki. Moja chrzestna matka nie przysłała mi pocztówek, więc dla oszczędności napisałem na tej samej karcie, żeby wyszło oszczędniej. Jestem zdrow, nie zawracam sobie głowy żadnymi dziewczynami, bo młody człowiek powinien być zawsze moralny i skromny, czego i kochanym rodzicom z całego serca życzę.

Przywiązany syn Antoni.

DZISIEJSZY ŻEBRAK.

— Litości godna osobo, poratuj bidnego, nie-szczęśliwego, co na jedno oko widzi, a na drugie nie nie słyszy.

— Macie tu, dziadku, pół marki

— Co?... Masz pan drugie pół marki i idź se do taniaka na obiad. Widzicie go, frajera!